

MŁODZIEŻOWA AKADEMIA ROZWOJU



UNIwersytet uliczny

"Legenda o pochodzeniu nazwy miasta"

Znanych jest wiele legend i opowiadań na temat powstania miasta i jego nazwy. Najbardziej rozpowszechnioną jest wersja zapisana w „Chronografii albo Dziejopisie Żywieckim” Andrzeja Komonieckiego

„To miejsce na którym miasto Żywiec z gruntami zasiadło, naonczas lasem bukowym było, na którym się obficie bukwie rozróżiło. Gdzie okoliczni mieszkańcy, (...) stada świni swoich pasali, zowiąc ten las Zaypus, to jest Świni Las. (...) Albowiem z tego świni pasienia tego miasta osada się stąd stała, (...) i stąd ulubwszy sobie miejsce, w mieszkanie się ludzi to miejsce obróciło i od obfitości żywienia świni i rozlicznych w tych górach rzeczy i podywienia, zasiadwszy, kielka chałp Żywcem nazwano”.

Istnieje też wersja, że nazwa pochodzi od zubra schwytanego żywcem w okolicach Międzybrodzia przez mieszczan żywieckich, którzy złapane zwierzę księciu oświęcimskiemu, jako panu swemu podarowali, a on na pamiątkę tego zdarzenia nadał miastu herb „zubrzą głowę, a na niej lotnego orla”.



"Legenda o królu ŻYW"

Dawno, dawno temu w pięknej dolinie otoczonej zewsząd górami stał wielki zamek w którym mieszkał z rodziną król Żyw. Był królem bardzo dobrym i sprawiedliwym, którego poddani bardzo lubili. Kiedy król zmarł, jego poddani postanowili, że cała okolica na cześć zmarłego króla nazwie się Żywiec.



„Jak powstał Żywiec”

Działo się to wtedy, kiedy Pan Bóg stwarzał świat. Siedział sobie w przestworzach na chmurze niczym w pierzynie i dumal nad tym, jak świat wyglądać. Aniołki, które Mu usługiwały robiły to, co On wymyślał. Stworzył Pan Bóg glinę, ulepił z niej kulę ziemską i powoli spuścił na dół. Ona zaczęła mocą niebieską rosnąć. Rosła i rosła niczym chleb na drożdżach, aż stała się tak ogromna, jaką jest do dzisiaj. Rozpalił na niebie Słońce aby Ziemię ogrzało. Następnie stworzył siły nadprzyrodzone i wysłał na Ziemię przykazując, aby każda pora roku miała w odpowiednim czasie swoje panowanie. Aniołki miały doglądać aby woli Bożej stało się zadość. Wszystko ukazywałoby się według woli Boga gdyby nie wiatr. Tak mu się latanie po całej Ziemi spodobало, że przez swoje hulanki narobił strasznych zamieszania. Przez jego to wybryki jest w pewnych miejscach wieczna zima, a znowu gdzie indziej upał, że nie można wytrzymać. Wiatr dmuchał po Ziemi tak silnie, że przenosił wysuszoną glinę z miejsca na miejsce. Dlatego to powstały głębokie doły, a gdzie indziej usypał bardzo wysokie góry. Kiedy aniołki opowiadały Panu Bogu o postępach wiatru, Ten się okropnie rozgniewał. Twarz Jego ciemniała od gniewu, aż na całej Ziemi zrobiło się ciemno, chociaż był dzień. Potem jak nie zaczął ciskać błyskawicami za wiatrem.

- Ty szaleńcze – grzmiał z wysokości - za to żeś nie uszanował mojej woli, będziesz się wiecznie błagał po świecie. Każda moc nadprzyrodzona będzie miała czas na odpoczynek. Ty jeden nigdy!

Potoki deszczu spływające podczas gniewu Bożego wypełniały doły wodą.

Tak powstały rzeki, jeziora, morza i oceany.

Wiatr uciekł przed gniewem Bożym i zaszył się między górami. Aniołki przestraszone klątwą Boga użaliły się nad Wiatrem i chciały go usprawiedliwiać. Zaczęły Panu Bogu opowiadać jeden przez drugiego, że nie wszystko jest takie złe co wiatr narobił.

- Popatrz się miłościwy Panie jakie piękne góry usypał.

- Bóg Ojciec przestał grzmieć, popatrzył na góry, które jaśniały w słońcu tworząc przepiękny widok. Były to nasze Tatry.

- Dlaczego tak mało? Usyp więcej gór – rozkazał Bóg Wiatrowi.

Lecz on był nie tylko nieposłuszny ale również leniwy i krnąbrny.

Dlatego to o człowieku nie zrównoważonym mówi się, że ma wiatr w głowie.

Nie chciało mu się takich wysokich gór sypać, tylko dużo mniejsze.

Szczyty miały zaokrąglone i żeby trochę zamaskować swoje nieposłuszeństwo posiał górcom po wierzchołkach gęste lasy. Tak to powstały nasze beskidzkie gronie.

Były na swój sposób piękne, podobały się Stwórcy jak i aniołkom, pomiędzy którymi jeden był wyjątkowy.

Odnaczał się nie tylko pracowitością lecz i również wszechstronnymi zdolnościami.

Przy tym był bardzo wesoły i wymyślał przeróżne uciśne zabawy.

Lubiły go wszystkie anioły a sam Pan Bóg darzył go sympatią i zwykł mawiać, że pomysłunku i życia to on ma za dwóch.

Gdy Pan Bóg zmęczony gniewem po grzmotach za Wiatrem zaczął drzemać,

aniołom było nudno. Zaczęły namawiać wesołego aniołka, żeby ich czymś zabawił.

On nie dał się długo prosić i wymyślił granie, taniec i śpiewanie.

Puścił się w tany, przytupując, klaszcząc w ręce robił przysiady, a że ma skrzydła przeszkadzały w tańcu - to je odpiął i rzucił precz. Wszystkie aniołki ruszyły za nim w tany i nikt nie zauważył, że wesołek tak się zagalopował, że z chmury spadł. Kiedy spadał na Ziemię w śmiertelnym strachu zawołał:

- Matko Boska, ratuj, ratuj!!!

Matki Bożej w niebie jeszcze wtedy nie było, ale każdy, kto z niebezpieczeństwem się zmagą, zawsze najpierw na pomoc matkę wzywa. Aniołki posłyszały wołanie o ratunek, w mig pojeły co się stało i zaczęły budzić Boga Ojca. Wołały jeden przez drugiego:

- Panie Boże, bo spadł, bo spadł. On odpiął skrzydła i się na górach rostrzaska - lamentowały wszystkie.

Bóg Ojciec zaspany pyta:

- Kto spadł? Aniołki nie wiedziały co odpowiedzieć, bo nie miały imion.

Nareszcie któryś z aniołków wykrztusił:

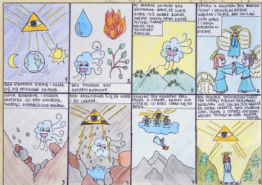
- Spadł ten, no ten Ży, Ży, Ży - Żywczak.

Bóg Ojciec uniósł rękę, góry się rozstąpiły i w ten sposób powstała Żywiecka Kotlina. Aniołek spadł na równinę, otrząsnął się ze śmiertelnego strachu i porozglądał wkoło. Widok był tak piękny, że chociaż zrzucono mu skrzydła, żeby mógł wrócić do nieba, postanowił, że zostaje.

Wkrótce Pan Bóg stworzył ludzi, którzy osiedli na jego pamiętkę Żywczaka nazwali.

Upłynęło wiele lat, a że Matka Boża uratowała wesołego aniołka od śmierci, kościół katedralny pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Żywcu stanął. Może tak powstał Żywiec, może inaczej, ale w każdej legendzie ziarenko prawdy zaplatać się musi.

Autor: Waleria Prochownik



„Historia góry Grojec”

Dawno, dawno temu, za czasów, których już nikt nie pamięta, żył sobie na tym świecie skrzypek zwany Jecem. Chłopak mieszkał w Beskidach, a dokładnie w Żywieckiej Kotlinie. Żył mu się spokojnie przez całe dzieciństwo dopóki ojciec mu nie umarł. Matka pracy znaleźć nie mogła, dlatego chłopiec postanowił zarabiać na grze i śpiewie.

Pewnego dnia, gdy Jec przechodził koło góry bez nazwy, spotkał piękną dziewczynę z koroną na głowie.

- Witaj piękna panienko – rzekł do niej.

- Witaj. Kim jesteś? Skąd się tu wzięłaś? – spytał

- Jestem księżniczka, córką królowej Beskidów. A na imię mi Lasbora.

Pytałeś skąd tu się wzięłam, a więc jestem tu za karę. Widzisz tę górę

- i wskazała na górę bez nazwy. Jeszcze niedawno była równa, ale ja źle postąpiłam i wiele ziemi się z niej osunęło. Teraz mam wymyślić jej nazwę, i chociaż mam na to dużo czasu, nic nie mogę wymyślić.

- Chętnie ci pomogę – powiedział Jec.

- Naprawdę jak mam tobie dziękować – odpowiedziała Lasbora.

Długo jeszcze rozmawiali, a że dziewczyna nie miała się gdzie podziać, chłopiec zaproponował jej by zatrzymała się u niego.

Minał tydzień od spotkania, a oni wciąż nie potrafili wymyślić nazwy.

Jeżeli Lasborze było smutno, Jec grał jej na skrzypcach najzabawniejsze melodie, tak że dziewczyna od razu się rozweselała.

Wkrótce zapomnieli o karze dziewczyny i o wszystkich smutkach. Traktowali się jak rodzeństwo. Ich szczęście nie trwało długo. Przyszła sroga zima, a w dodatku plony w lecie nie były obfite. Matka Jeca ciężko zachorowała. Nie mogła ani jeść ani pić.

Miała bardzo wysoką gorączkę i po kilku dniach zmarła. Została pochowana na szczycie góry. Lasbora obwiniała się o jej śmierć. Całymi dniami przesiadywała na jej grobie i przeproszała za to, że pojawiła się w ich życiu. Mówiła, że gdyby nie ona, Jec bardziej by na matkę uważał i nie zachorowałaby i nie umarła.

Nie chciała by się ktoś do niej zbliżał, bo jak mówiła, przynosiła pecha.

Nic jej nie potrafiło pocieszyć, nawet wesołe piosenki Jeca, które tak bardzo lubiła.

Coraz bardziej zamykała się w sobie. Nie jadła, nie piła, nie dbała o siebie. Była błąda, nie spała. Strojna, piękna panna, stała się cieniem człowieka. Ciągłe dręczyła ją myśl o śmierci matki chłopaka. Starala się to zagłuszyć pracą, ale nic nie pomagało.

Próbowała także innych sposobów. Nocami wymykała się nad rzekę, gdzie przebywała aż do wschodu słońca. W dzień pod pretekstem zbierania chrustu, chodziła na długie spacer. Jeśli wracała po ciemku, mówiła, że nie mogła nic znaleźć. Po pewnym czasie przestała z kimkolwiek rozmawiać. Siedziała tylko przy oknie i wpatrywała się w górę bez nazwy. Gdy Jec to zauważył, przypomniał sobie o jej zadaniu.

- Może nazwa dla góry ożywi Lasborę – pomyślał.

Minał miesiąc, a Jec już nie miał nadziei na to, że wymyśli nazwę, chociaż myślał dniem i nocą.

Pewnego dnia, gdy Jec wrócił z gospody, gdzie grywał na skrzypkach usłyszał ciche słowa dobiegające z pokoju, gdzie zawsze siedziała Lasbora.

- Muszę to zrobić - powiedziała - muszę!

Początkowo Jec tego nie rozumiał. Ale udało mu się to zrozumieć po tygodniu.

Było to w środę w dzień targowy. Lasbora wstała wczesnym rankiem i poszła nad rzekę.

Była tam sama do czasu, dopóki Jec jej nie znalazł. Po kilku godzinach siedzenia w ciszy powiedziała, że jeżeli nie wymyśli nazwy dla góry, sprowadzi na całe Beskidy ogromne nieszczęście. Jec myślał, że Lasbora wróci do domu na noc,

ale nie zrobiła tego. Nad ranem skrzypek wyruszył na poszukiwania królowej, która jak się domyślał ukryła się w lesie na stoku góry. Szukał jej cały dzień, lecz nie znalazł. Pomyślał, że wróciła do swojej matki Królowej Beskidów.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Pewnego letniego dnia doszła do Jeca wiadomość o odnalezieniu Lasbory. Była bardzo ciężko chora. Żaden z lekarzy nie wiedział co jej dolega. Nie pomagały wywary ziołowe ani żadne lekarstwa.

Była to dziwna choroba. Jej objawami nie była ani wysoka gorączka, ani kaszel, ból głowy, nie był to też ból mięśni, stawów czy kości. Widać było, że tę dziewczynę coś dręczy od środka. Lasbora była bardzo wycieńczona, co oznaczało, że od dawna nic dobrego nie jadła. Była blada a jej prawie fioletowe wargi wyglądały, jakby ich właścicielka już od dawna nie żyła.

Jec nie wiedział co robić by ratować dziewczynę. Lasbora była coraz słabsza i coraz bliższa śmierci. Jej ostatnim życzeniem było, aby Jec dokończył jej misję. Powiedziała także, że chce być pochowana na szczycie góry obok jego matki.

Pochówek był bardzo cichy. Jec całymi dniami siedział przy grobie matki i Lasbory i grał im najpiękniejsze melodie jakie znał. Był bardzo samotny, zaniedbywał pracę, w końcu umarł z tęsknoty.

Gdy hały hulały między drzewami na owej górze, górale Żywieccy powiadali, że to gra Jec. A w gwarze ludowej słowo gra brzmiało gro. Od tego powiedzenia wzięła się nazwa góry GROJEC, u której stóp płynie rzeka Soła.

Autor: Maria Gołąb

„Pokutnik z Grojca”

Żywiecka Kotlina, którą by można było nazwać przedsiönkiem raju, ma swego strażnika.

Jest nim góra Grojec, przyglądająca się od wieków jej rozwojowi. Góra ta zwana przez miejscowy lud „zamczyskiem”, kryje w sobie wiele tajemnic. Przed wiekami wznosił się na niej zamek, którego właściciele napadali na kupców zdążających od Czech w stronę Krakowa. Od południowej strony u jej podnóża i na samym szczycie, leżą różnej wielkości kamienie i glazy. Prawdopodobnie są to dawni książęta pokutujący za swe występki.

Dawno temu, może przed stu laty, a może i więcej, kawaler ze Sporysza rozmyślał się bardzo u pannie z przeciwległej strony Grojca z Wieprza. Co niedzielę spieszył on do swej ukochanej polami u podnóża Grojca.

Był początek długich letnich dni i bardzo krótkich nocy. Pewnego razu gdy wracał z powrotem było już koło północy gdy zbliżał się do góry. Była pełnia księżyca. Powietrze przesiąknięte bujną roślinnością wydzielającą przepyszne aromaty, a poświata księżyca w tajemniczy sposób oświetlała urokliwy zakątek.

Nie wiedząc dlaczego, zaczął się wspinać na wierchołek Grojca. Gdy stanął na szczycie, nie wiadomo z jakiej przyczyny dziwny dreszcz przeszył go od stóp do głów.

Gdzieś zniknęła jego odwaga i w myślach uświadomił sobie, że przecież jest północ. Czym prędzej wziętą ciężką zbiegł w dół. Raptem niby spod ziemi wyrosła przed nim olbrzymiego wzrostu postać. Wokoło panowała przejmująca cisza. Nawet wiatr pierzchnął gdzieś w oka mgnieniu. Chłopak w odruchu samoobrony chciał rzucić się do ucieczki lecz nogi niczym wrośnięte w ziemię nie mogły się poruszać.

Wreszcie olbrzym przemówił i choć stał na odległość dwóch kroków, głos jego wydobywał się jakby z czełusci studni.

- Kto jesteś i co tu robisz o tej porze? Od przeszło trzech wieków krążę tu w każdej pogodną noc przy pełni księżyca i nigdy żywej duszy nie spotkałem. Nie czekając na odpowiedź, zaczął swoją spowiedź, od której młodzieńcowi krew krzepła w żyłach i włosy stawaly na głowie.

Pokutnik opowiadał:

- Muszę obchodzić przy świetle księżyca te miejsca, w których ze swoją kompanią dokonywałem rozboju. Te krzewy – wskazał ręką na krzaki dzikich róż i tarniny – to wszystko są ofiary naszych napaści. Muszę chodzić, a one rozedzierająco proszą o litość, czeplą się moich szat, ich kolce ranią mi ręce. Nie masz dla mnie wybawienia. Musiałby jakiś śmialek przyjść dwanaście razy o północy podczas pełni księżyca w każdej pogodną noc i słuchać mojej spowiedzi. Dopiero w dwunastej godzinie zrzuć z siebie ciężar win. Dopiero po dwunastu godzinach zdążę wszystko wypowiedzieć. Gdy mnie wybawisz powiem ci zaklęcie, które wypowiesz. Musisz przed tym obrysować święconą kredą skałę znajdującą się z południowej strony Zamczyska. Wówczas ta skała się obsunie i otworzy ci wejście do pieczary gdzie są niezliczone skarby. Przyjdź za miesiąc, wtedy pokażę ci tajemnicze zakątki na górze. Zamek cały z powodu klątwy zapadł się pod ziemię. Klątwę rzucili miejscowi włościanie. Wyrabiali oni u książąt na Grojcu i zostali perfidnie oszukani. Ziemia ta, kryje niejedną tajemnicę. To źródło, które u podnóża Zamczyska się znajduje powstało z krwi pomordowanych, która lała się strumieniami, wsiąkała w ziemię i w tym miejscu wypłynęła. Nawet podczas największej posuchy, to źródło nie wysycha. Jeszcze ci pokażę... - i w tym momencie zahukała sowa trzy razy.

- Na mnie już czas – wyjął załóżnie olbrzym, muszę już odejść na swoje miejsce i stać się kamieniem.

- Pamiętaj! Przyjdź, przyjdź! – powtarzał oddalając się a wraz z nim pohukiwała sowa od strony lasu.

Młodzieniec wreszcie oderwał nogi od ziemi i niczym na skrzydłach popędził do domu. W ubraniu rzucił się na łóżko i zasnął kamiennym snem. Obudził się dopiero nazajutrz, nie można się było go bowiem dobudzić. Po przebudzeniu zauważył, że ze strachu posiwiały mu włosy na skroniach. Nic nie pamiętał o czym opowiadał mu duch. Pamiętał tylko, że za miesiąc ma znowu z nim się spotkać i o skarbach ukrytych w szczycie góry. Strach był jednak silniejszy od chęci posiadania skarbu. Nawet przestał chodzić do dziewczyny.

Chociaż opowiadał on bardzo często swoją historię, nikt nie kwapił się w księżycową noc na Grojec. Być może odkąd krzyż stoi na szczycie dusze nań pokutujące uzyskały odpuszczenie win, a może dotychczas nie.

Któż to wie?...

Autor: Waleria Prochownik

„Zamek Skrzyńskich”

Najbardziej owianym legendą jest sam szczyt góry Grojec. Prawdą jest, że w średniowieczu wzniesiony był na nim obronny zamek. Właściciele zamku Włodek i Bożywoj Skrzyńscy herbu Łabędź ze Skrzynna trudnili się rozbojem. Napadali na bogate karawany kupieckie i rabowali ich towary oraz zabierali pieniądze. Legenda głosi, że na wskutek klątwy zamek zapadł się pod ziemię wraz z całym bogactwem, a stało się to, o północy podczas Wielkiej Nocy. Dlatego też każdego roku o tej porze, uchyla się skała po zachodniej stronie Grojca od strony browaru, dając dostęp do skarbów. Nikt do dzisiaj nie wie jak długo skała jest odchylona, prawdopodobnie bardzo krótko. Opowieści głoszą, że każdy śmiałek, który tam wszedł do środka olśniony bogactwem zapominał o pośpiechu i pozostawał tam na zawsze. Uwolnić śmiałków mógłby ten, kto o północy w świetle księżyca, zaora wzgórze na kolanach dwoma wołami. Wtedy też ma pojawić się na starym miejscu obronny zamek.

„Bajka o staruszce i magicznej studni”

Dawno, dawno temu za górami, za lasami gdzie nikt pamięcią prawie nie sięga, w starej chacie na niewielkim wzgórzu mieszkała samotna staruszka. Żyła bardzo ubogo i skromnie, codzienne prace domowe sprawiały jej ogromną trudność. Bardzo smutne było życie staruszki. Nie miała rodziny, a ludzie przestali ją odwiedzać, gdyż uważali ją za starą szlachającą kobietę. Jedyne jej radością była otaczająca przyroda. Gdy słonko przygrzewało pod strzechą starego domku, starsza pani o imieniu Waleria siedziała na ławeczce i tak rozmyślała: - Jakby to było dobrze, gdyby jakaś młoda dziewczyna zechciała ze mną zamieszkać. Żyłoby się mi wtedy i wiele lepiej i weselej – wzdychała ciężko użalając się nad swoim losem. Pewnego dnia, gdy czerpała wodę ze studni, na cembrowinie przysiadło stadko gołębi. O dziwo, staruszka rozumiała ich mowę. A gołąbki gruchały! - Znamy sposób na kłopoty, lecz nikomu nie mów o tym! Powierz studni swe zmartwienie, woda spełni Twe życzenie! Echo da Ci znaki stanie się tak! Walerii twarz rozjaśniła się z radości, a zmarszczki na jej twarzy wydawały się mniejsze. Nachyliła się nad studnią i cichutko powiedziała: - Fragnę by zjawiła się jakaś dobra dusza i zamieszkała ze mną. Gdy tylko wypowiedziała te słowa, u jej boku stanęły dwie młode, piękne dziewczyny. Obydwie o długich blond włosach i niebieskich oczach. Staruszka, nie kryjąc wzruszenia, pocierała oczy ze zdumienia. Jednak gołąbki nadal gruchały: - Jedna jest dobra i pracowita, natomiast druga to zła podstępnicza. Twoim zdaniem jest rozpoznać, która prawdziwa. Staruszka była bardzo smutna i przerażona. Jak ma poznać dziewczynę o dobrym sercu? Dawła im różne prace domowe i obydwie wywiązywały się z nich naletycie. Zawsze miłe, uczynne, a na ich twarzach gościł promienny uśmiech. Waleria kręciła głową i nie wiedziała, co czynić dalej. Zwierzęta i ptaki rozpoznawały złą dziewczynę, ale nie zdążyły jej tego przekazać.

Nagle rozszalała się burza. Ryk grzmotów był coraz bliżej i niebo rozdarła oślepiająca błyskawica. Wtem z rozpaczliwym wrzaskiem niedobre dziewczę zniknęło w głębokiej, ciemnej przepaści. Natomiast nad Amelią zaświeciło słońce. Staruszka z dziewczyną wpadły w sobie w ramiona i obiecały sobie wzajemną pomoc. Od tamtej pory życie biednej Walerii odmieniło się. Dziewczyna Amelia kręciła się po domu,

a staruszka siedząc na ulubionej ławeczce przed domem, kiwała głową i ocierała łzy ukradkiem. Wkrótce dziewczyna wyszła za mąż za księcia. Wybudowali piękny zamek obok chaty staruszki i wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Autor: Natalia Hulbój

kl. VI Szkoła Podstawowa Nr.1, Żywiec

„Beczka na żywieckim zamku”

Wieść o tym, że na dziedzińcu żywieckiego zamku pojawia się mglista postać, tocząca wielką beczkę, rozeszła się lotem błyskawicy wśród okolicznych mieszkańców, którzy orzekli, że jest to upiór Skrzyńskiego, który musi swoje odpokutować. Skrzyńscy byli rycerzami rozbójnikami, napadali na bogate karawany kupieckie i orszaki wielmożów, nie bali się nikogo i nieszczęścia. Spytko władał warownią na Grojcu, która górowała nad całą doliną Soły, był hardy i okrutny, zawsze potrafił ująć pogoni i wywinąć się sądom. Znał każdy górski przesmyk, każdą szczelinę i najbardziej ukrytą ścieżkę. Budziło to niepokój nie tylko panów z Żywca, ale i samego króla Władysława Jagiellończyka.

Aż wreszcie skończyła się cierpliwość monarchy. Szale przechylił napad, którego dokonał kamrat Skrzyńskiego. Podniósł on rękę na córkę króla, Elżbietę. Królowna uciekła ale dwórki, które towarzyszyły jej w podróży zostały zamordowane.

O udział w zamachu oskarżono Skrzyńskiego. Na Grojec ruszyły królewskie oddziały.

Rozpoczęło się prawdziwe oblężenie. Trudno było zdobyć znajdujący się na szczycie zamek.

Postanowiono wziąć rozbójników głodem i pragnieniem. Po paru tygodniach zmuszono ich do poddania się. Herasz rabusiów - Skrzyński, nie mógł liczyć na łaskę króla. Na próżno błagał o litość, wyrok wydał sam król. Skazano go na śmierć.

Rozbójnik został wsadzony do beczki, nabitej wewnątrz gwoździami, a beczkę spuszczano z zamkowej góry. Wieść o śmierci okrutnika rozeszła się bardzo szybko.

Niedługo po tym wydarzeniu na dziedzińcu żywieckiego zamku ujrzano niewyraźną postać, toczącą z hukiem wielką beczkę. Po chwili zjawa rozpylniła się w powietrzu i tylko spod ziemi dobiegał jeszcze głośny dudniący głos. Legenda głosi, że to duch Skrzyńskiego pokutuje za swoje popełnione złe czyny. Mimo, że to już wiele lat minęło, to na zamku ciągle jeszcze słychać upiórne dźwięki, bo Skrzyński toczy beczkę raz w stronę Grojca, a drugi raz w stronę ulic odchodzących od zamku. Ten, kto chce usłyszeć te dźwięki, musi cierpliwie czekać, aż nastanie czarna noc i pilnie nadstawiać uszy.

...Nie ma już śladu po zamku Skrzyńskich zbudowanym na wyniosłym, górującym nad Żywciem Grojcem, ale w Żywcu do dzisiaj się mówi o tym, że żołnierze króla dotarli do warowni na Grojcu podziemnym korytarzem, który łączył górę Grojec z zamkiem. Ile w tym prawdy? Kto poznał ten korytarz? Do dzisiaj nie wiemy.



„Nimfa Żywia”

Dawno, dawno temu u stóp góry Grojec, było małe miasteczko. Mieszkali w nim dobrzy ludzie, pomagali sobie wzajemnie, byli bardzo życzliwi dla siebie.

Każdy podróżny mógł u nich znaleźć gościnę, każdy biedny mógł liczyć na miszkę zupy i kąt do spania.

Mieszkańcy miasteczka żyli więc sobie spokojnie i dostatnio ale w sercu nosili wielki smutek, bo miasto ich nie miało nazwy. Bardzo to mieszkańców smuciło i martwiło.

Myśleli więc i myśleli. Dumali i dumali i nie nie mogli wymyślić. Wreszcie pewien młodzieniec powiedział do mieszkańców: wybiorę się i pójdę na górę Grojec, tam w ciszy być może wymyślę jakąś, nazwę dla naszego miasta. I poszedł.

Kiedy wyszedł na szczyt góry, skąd roztaczał się piękny widok, zobaczył siedzącą na kamieniu i płaczącą młodą kobietę.

- Kim jesteś i dlaczego płaczesz, czy ktoś cię skrzywdził? - zapytał młodzieniec.

Kobieta odpowiedziała:

- Jestem leśną nimfą, na imię mam Żywia i jestem bardzo nieszczęśliwa. Mam wiele sióstr, każda z nich ma w opiece jakieś miasto lub wieś, tylko ja nie mogę znaleźć osady dla siebie.

- To wsparł się! - krzyknął młodzieniec - nasze miasto nie ma swojej opiekunki.

Opiekuj się naszym miasteczkiem - zaproponował.

Żywia z wielką radością zgodziła się na tę propozycję. Młodzieniec wrócił do miasteczka z wiadomością: mamy opiekunkę nimfę Żywie.

Mieszkańcy bardzo się z tego ucieszyli, a Żywia bardzo opiekowała się miastem.

Mieszkańcom wiodło się coraz lepiej. Z wielkiej wdzięczności nadano osadzie nazwę ŻYWIEC pochodzącą od nimfy Żywia, która nadal opiekuje się naszym miastem.

Autor: Monika Glazowska

„Strachy”

Kiedys opowiadała mi jedna, już nieżyjąca osoba z Zawoi historię o pewnej kapliczce.

Miedzy Kaliną a Przysłopiem ludzie przechodzący obok przydrożnej kapliczki o 12 godzinie w nocy często słyszeli smutny głos, który mówił tylko dwa słowa: - na wieki, na wieki, na wieki. Każdy, kto to słyszał, uciekał, gdyż dreszcze i ciarki przechodziły

- taki ogarniał strach. Kiedys wieczorem pewien mieszkaniec Zawoi (a był już w dobrym humorze, gdyż wracał z gospody) usiadł sobie przy kapliczce, aby odpocząć, i słyszy:

na wieki, na wieki... Obejrzał się i mówi: A coż tak wołos "na wieki?", a jo ci powiem!

"Na wieki wieków amen! Nagle słyszy: Bóg ci zapłać, dobry człowieku, gdyż mnie wybawiłeś! Czekałem na tę chwilę kilka lat i nikt się nie odważył odpowiedzieć! Tylko ty odpowiedziałeś!

Powiem ci jak to było. Byłem księdzem, chciałem jak najwięcej robić dla wiernych, organizowałem uroczystości, budowałem kościoły. Ciągłe zajęty, zagoniony, a gdy mi ktoś

powiedział: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", nigdy nie odpowiedziałem

- "Na wieki wieków amen", tylko - "na wieki"; dlatego musiałem to odpokutować.

Ty dokończyłeś za mnie słowa, których ja przez pośpiech nie dopowiadałem.

Teraz odryskałem spokój duszy. Od tej pory nikt już nie słyszał wołania na wieki.

Źródło: <http://www.przyslop.zawoja.pl/opowiadania/index.html>

„Legenda o bogini Żywii”

Dawno, dawno temu, pewna boginka szukała swojego miejsca na Ziemi.

Zawędrowała do pięknej kotliny pomiędzy górami. Tu postanowiła zostać i pomagać ludziom. Żywia, bo tak jej było na imię, знаła leczniczą moc roślin, wróżby i zaklęcia. Jej towarzyszami podróży były oswojone zwierzęta: żubr i orzeł.

Do chaty Żywii przychodzili okoliczni mieszkańcy, prosząc o pomoc w chorobach i troskach.

Pewnego dnia do kotliny przybył wysłannik króla Bolko. Bolko od wielu lat, we wszystkich krajach szukał leku dla ciężko chorej córki króla. Okoliczni mieszkańcy zaprowadzili Bolka do Żywii. Żywia nie знаła leku ani zaklęcia na chorobę królowej. Było jej tak bardzo żal królowej, że zapłakała.

- Weź moje łzy, one pomogą. Mój orzeł wskaże ci drogę powrotną, a żubr zawiezie cię na swym grzbiecie - powiedziała Żywia.

Bolko podziękował i odjechał. Cenne łzy Żywii pomogły chorej królowej.

Chcąc podziękować bogini za dar życia, król wraz z córką wyruszył w podróż do górskiej kotliny.

W chatę już nie zastał Żywii, a mieszkańcy powiedzieli królowi, że jej łzy utworzyły źródełko, które ma leczniczą moc. Dobry i szlachetny król nazwał to miejsce Żywcem, a wiernego orla i żubra umieścił w herbie tego miasta.

Autor: Paulina Kwaśna

„Legenda o rzece Sole”

Dawno, dawno temu, gdy nie powstało jeszcze państwo polskie, przez puszcze leżące nad Wisłą i Odrą wędrowały plemiona Celtów. Niewielkie plemię, któremu przewodził stary, mądry Dajko, odłączyło się od reszty i pobłądziło wśród łagodnych, lesistych wzgórz.

Torek ukochany wnuk Dajko został ranny przez dzika i niesiony na noszach z gałęzi, spowalniał marsz. Kiedy nadeszła noc, plemię rozbiło obóz nad rwącą górską rzeką.

Nocą Dajko czuwał przy noszach umierającego wnuka. Nagle z nadszecznej mgły wyłoniła się kobieta, podeszła do noszy i wodą niesioną w dłoniach napoiła Torka. Piękna nieznajoma znikła we mgle. Kobieta przychodziła co noc, a Torek czuł się coraz silniejszy. Kiedy poczuł się zupełnie dobrze, zjawa z nadszecznej mgły przestała przychodzić. Uszczęśliwiony Dajko nadał rzece imię SOŁA co w jego języku oznaczało - „Dająca Siły”.

Celtowie odeszli, powstało państwo polskie i miasto Żywiec. Przez wieki jego mieszkańcy walczyli z różnymi przeciwnościami losu i wrogami. Może to rzeka Soła dawała im siły i pozwalała przetrwać najtrudniejsze chwile.

Autor: Magdalena Czulak



Kiedy Matka Boża była już w niebie, wcale nie miała tam spokoju. Co chwilę zerkiała na ziemię, żeby popatrzeć co się tam z ludźmi dzieje. Najbardziej jednak na sercu leżał jej ciężki żywot kobiet. Wiedziała ona, że stare ludowe porzekadło głosi, że jak dziewczynka się rodzi, to siedem chorów anielskich płacze, bo rodzi się ona na cierpienie. Patrzyła też Matka Boża na nasze Beskidy, gdzie w dolinach wiejskie chaty przykucnęły od wiek wieków. Serce jej ogarniało wielkie współczucie, gdy widziała wiejskie kobiety wspinające się krętą górską drogą.

Na plecach w chustkach dźwigały one dzieci a w rękach niosły motyki lub grabie. Nic takiej niedoli nie mogła zaradzić. Wysyłała jedynie wiaterek, żeby osuszyć im skronie z potu. Szczególną uwagę przykuła Matce Boskiej pewna pasterka, która pasąc bydło, ciągle się modliła lub śpiewała nabożne pieśni. Młoda dziewczyna była pięknej góralskiej urody. Warkocz miała do pasa. Ubrana była w długą zniszczoną, pokrytą łatami spódnicę, skromną bluzkę a na nogach miała chodaki.

Kłęcząc na modłitwie płakała i prosiła Matkę Bożą:

- Matko Boża odmień mój los. Moje rówieśnice są takie szczęśliwe, mają już narzeczonych, a kto się nade mną zlituje i będzie chciał taką biedną pasterkę?

Prośba pasterki została przez Matkę Bożą wysłuchana. Pewnej niedzieli, gdy w kościele dawno były na Anioł Pański, a słońeczko już zachodziło za góry, po pięknych słonecznych promieniach, zeszła ku modlącej się pięknej Pasterce Matka Boża i głosem słodkim jak miód przemówiła:

- Skoro tak żarliwie, prawdziwie i pobożnie się modlisz, powiedz, czego byś chciała najbardziej. Biedna dziewczyna tak się wystraszyła, że bezwiednie padła na kolana i oczy jej spoczęły na połatannej i wyblakłej od słońca spódnicy. Zawstydziała się swojego wyglądu i bardzo cichutko wyszeptwała:

- O rety ja przed Matusią Bożą w takiej połatannej spódnicy... To przecież wstyd...

i rozpłakała się. Wtedy to Matka Boża na całą szerokość rozłożyła swoje ręce, a wszystkie najpiękniejsze kwiaty z łąki na której stała, przyszyły do Niej.

Dziewczyna aż wytrzeszczyła oczy gdy spostrzegła, że Matka Boża trzyma w rękach kawałek materiału w śliczne drobne kwiatki. Podała go Pasterce i jeszcze raz rozłożyła ręce po drugi kawałek. Zabierz to, tyle wystarczy. Będziesz miała piękne spódnice. Jedną od święta, drugą na co dzień. Dziewczyna padła na kolana, dziękując Matce Boskiej. Lecz gdy podniosła głowę do góry, nikogo już przy niej nie było. Z wielką radością tuliła do piersi nowy materiał na spódnicę.

Od tego czasu góralki żywiecnie chwalą się swoimi kwiecistymi spódnicami.

I nie ma w tym żadnego zdziwienia, skoro sama Matka Boska taki podarunek im dała.

Autor: Waleria Prochownik



„Legenda o źródleku świętego Wita”

Pisząc o żywieckich legendach, nie można pominąć miejsca zwanego Łaskiem Świętego Wita, gdzie dawniej znajdowała się kapliczka ze źródłem. Źródło to wypływało u podnóża wysokiego stołu porośniętego dębami, lipami i bukami. Miejsce to było tajemnicze, a wodzie przypisywano właściwości lecznicze. Wierzono bowiem, że w bardzo dawnych, przedchrześcijańskich jeszcze czasach, w uroczysku tym, znajdowała się świątynia słowiańskiej bogini Żywi, od której jak głosi legenda powstała nazwa miasta Żywca. Kiedy w maju 1669 roku król Jan Kazimierz wraz z całym swoim dworem zjechał do żywieckiego zamku, gdzie po abdykacji oczekiwał na wyniki elekcji, bardzo zachorował na oczy. Wtedy to poradzono królowi, aby przemywał oczy źródłaną wodą z miejsca, które związane było z legendarnymi i historycznymi dziejami Żywca. Król tak jak mu zalecono, pojechał do źródła i tam przemywał oczy źródłaną wodą. Wyzdrowiał, a w dowód wdzięczności ufundował obok źródła kaplicę pod wezwaniem świętego Wita. Drewniana kapliczka przetrwała do roku 1869, potem na jej miejsce wybudowano murowaną, którą w 1964 roku zburzono. Samo zaś źródło, przed zalaniem wodami Jeziora Żywieckiego, ocalało. Dzisiaj z ocembrowanej studni, można się napić czystej, zimnej, źródłanej wody.



„Legenda o ostatnim żywieckim utopielcu”

Na podstawie opowiadania p.t. „O ostatnim utopielcu żywieckim” Z. M. Okuljara. Dawno, dawno temu jak wspominają mieszkańcy miasta, utopce mieszkali całymi rodzinami w okolicy jaru, żelaznego mostu kolejowego czy też w łęgu za gazownią – gdzie obecnie Soła łączy się z Jezioro Żywieckim. Historia ostatniego żywieckiego utopca związana jest z rodziną rzeźnika Studenckiego. Tego to właśnie masarza, mieszkającego przy moście solnym, stale odwiedzał w jego masarni ostatni żywiecki utopielec. Żywiecki utopielec ubierał się na zielono, włosy miał rdzawe a oczy rybnie, wielkie i wybalabuszone koloru zielonego. Przez ramię miał przewieszoną torbę, która zakrywała mu na prawym boku wiecznie mokrą plamę.

Zjawiał się zawsze wieczorem, kiedy w sklepie nie było nikogo, kupował różnego rodzaju mięsne odpady i podroby. Sam od siebie płacił dwa razy tyle co żądał rzeźnik. Działo się to po pierwszej wojnie światowej i trwało to może rok, może dwa. Byłoby tak pewnie dalej, gdyby utopca nie spotkała w sklepie ładna, młoda wiejska dziewczyna, Weronka, służąca Studenckich, która przez ciekawość zapytała utopca, czy on zjada to wszystko co kupuje. Wtedy utopiec, aby zaspokoić ciekawość Weronki odpowiedział, że zakupy robi po to by karmić ryby i raki. Wtedy Weronka zorientowała się, że ma do czynienia z utopcem i bardzo się przeraziła, że może on zrobić im krzywdę i do Soby ich zaciągnąć. Przekonywała masarza Studenckiego, by uwierzył, że jest to najprawdziwszy utopiec - tylko po miejsku ubrany. Pewnego dnia po południu zerwała się wichura. Burza z pioranami nadszalała od Skrzycznego. Pan Studencki uciął sobie drzemkę, a jego żona krzątała się po kuchni. Zaczął padać deszcz i nagle w sklepowych drzwiach pojawił się utopiec. Kiedy Weronka go zobaczyła, szybko wzięła do ręki kropidło już wcześniej na utopca przygotowane, zamoczyła w kropielniczce ze święconą wodą, która na drzwiach wisiała i zaczęła kropić utopca mówiąc:

- W imię Ojca i Syna i Ducha, a zgiń maro i zostaw ten dom w świętym spokoju...
- a co kropnęła to utopiec stawał się mniejszy i mniejszy aż zmienił się w żabę zieloną w szare plamki. Zanim jednak to się stało zdążył jeszcze opluć Weronkę.

Nagle zerwał się wicher, otworzył sklepowe drzwi i żaba uciekła do ogrodu. Za kilka dni po tym zajściu, Weronkę obsypało krostami. Żadne leki nie pomagały. Pani Studencka twierdziła, że to utopiec zemdlił się na Weronce za to święcenie. Żal jej było dziewczyny, która wyglądała okropnie. Poradziła więc Weronce aby szła do kapliczki świętego Wita, a tam przed tą kapliczką w źródelku w cembrowinie kamiennej cała się obmyła, bo woda ta ma moc uzdrawiającą i niejednemu już pomogła. Nawet sam król Jan Kazimierz tam się modlił i łaskę uzdrowienia otrzymał. Weronka zrobiła tak jak jej pani Studencka poradziła i za czwartym umyciem wredne krosty zniknęły. Weronka z wdzięczności za swe wyzdrowienie święcki przed Upadkiem Pańskim przy wejściu do kościoła farnego przy rynku zapaliła i modliła się za utopielca, co go na żabę wyświeciła.

Pan Studencki pokpował sobie z tej opowieści, ale prawdą było, że utopiec zielony już się więcej w sklepie nie pojawił. Weronka zaś święcie wierzyła, że dom i rodzinę Studenckich od wielkiego nieszczęścia uratowała.

„Czarownice”

Dawniej po Przysłopiu, jak jeszcze chowano dużo bydła, a nie było to wcale tak dawno, krążyły opowieści między gospodyniami o czarowaniu. Podobno były upatrzone kobiety, które miały takie magiczne właściwości. Poznawano je po tym, że im się dobrze powodziło, a innym gorzej. Zazwyczaj były to takie gospodynie, które miały mało krów, a dużo mleka. Znaczyło to, że taka gospodyni czaruje i w jakiś tam sposób odbiera mleko krowom sąsiada. Zdarzało się bowiem, że akurat ktoś miał dużo sztuk bydła, a mało mleka. Od razu kojarzono obydwa fakty i powód takiego stanu rzeczy był pewny. Niektórzy starsi ludzie do dziś wierzą w taki zwyczaj, że po zachodzie słońca nie wolno nikomu nic pożyczać. Dawniej nie można było sprzedać ani mleka ani jajka, bo to miało być związane z czarami. Dziś już nie ma czarownic, bo nie ma krów. A prawdziwe mleko możemy kupić tylko w sklepie. Nie ma krów, a jest mleko - to dopiero magia!

„Jabłonka”

Niedaleko stąd mieszkał pewien bardzo zły mężczyzna, który usunął wszystko, co tylko stało mu na drodze. Zasmuceni rodzice, widząc nieczne uczynki swego syna, postanowili, że wpłyną na jego zachowanie. Adam został postawiony przed wyborem- zmiana postępowania albo wygnanie.

Niestety i to nic nie dało. Mężczyzna postanowił, że pozbedzie się rodziców i tak uczynił. Gdy oboje spali, ten wtargnął do ich izby i z zimną krwią zabił oboje.

Wyrazy sumienia nie dawały mu jednak wytchnienia, a serce przypominało o dokonanych czynie. Z upływem czasu tracił na wadze, robił się bladzi, a i zmarszczek na czole przybywało z każdym dniem.

Pewnego dnia okolicę tę nawiedził poczciwy zakonnik, który przyszedł zapytać o drogę. Adam poczuł, że może być to dla niego okazja do uwolnienia się spod jarzma grzechu. Zakonnik polecił mu wpięrow odpokutować swoje winy, zanim przystąpi do spowiedzi. Wbił więc w ziemię łaskę, którą się podpierał i nakazał by Adam jej doglądał i każdego dnia podlewał.

Mijały lata, a mężczyzna posłuszenie trwał przy wbitym kiju, który teraz stał się już średniej wielkości jabłonką, co roku rodzącym dorodne owoce. Adam nie pozwalał jednak nikomu zerwać choćby jednego z nich. Aż tu kiedyś przejeżdżał tamtędy stary zakonnik ze swoim parobkiem. Był ciepły letni dzień. Zapach pysznych jabłek kusił już z oddali, zatem zakonnik wysłał parobka po kilka z nich. Gdy ten dotarł w końcu do jabłoni zastał pod nią schorowanego starca, który zabronił mu zerwania choćby jednego owocu:

-Zbierał plony będzie ten, kto sadził-tłumaczył Adam.

Parobek wrócił zatem do Zakonnika i opowiedział o zaistniałej sytuacji. Mnich przypomniał sobie wówczas o mężczyźnie, który czeka na spowiedź i czym prędzej do niego podążył.

Adam rozpoczął swą budzącą łitość spowiedź. Wten jak kolejno wypowiadał grzechy spadały z drzewa jabłka, aż w końcu zostały tylko dwa. Adam milczał.

-No mów-namawiał zakonnik-zostały tylko dwa. Choćbyś matkę i ojca zabił, to musisz powiedzieć.

-Zabiłem. I po tych słowach upadły dwa pozostałe jabłka. Adam uwolnił swoją duszę.

Autor: Monika Ząbek



„Znak Krzyża”

Niegdyś przed laty na skraju lasu mieszkała szczęśliwa rodzina – małżeństwo z córką. Ojciec by wyżywić rodzinę pracował w lesie jako drwal, matka zaś zajmowała się chatą i wychowywaniem córki, starając się by ta była oddana Bogu i nigdy nie przestawała go miłować.

Pamiętaj córeczko, gdy nie wiesz co począć zawsze zwracaj się do Boga i do matki Boskiej. Gdy tylko uczynisz znak krzyża, Pan Jezus nigdy nie odmówi Ci pomocy.

Rodzina choć bardzo uboga, każdego dnia dziękowała Bogu za szczęście, którym ich otacza.

Niestety matka dziewczynki wkrótce poważnie zachorowała i zmarła.

Ojciec został więc z dziewczynką sam.

Nieoczekiwanie i jego zdrowie zaczęło się pogarszać, doskwierała coraz sroższa bieda, a i kontakt z córką stawał się uboższy. Drwal począł się zastanawiać co dalej.

Pewnego dnia, gdy przebywał w lesie podszedł do niego staruszek i poprosił o pomoc:

- Dobry drwala użycz mi odrobinę wody do picia bom spragniony.

Począł drwal bez zastanowienia pochwycił swoją menażkę i podał ją przybyłcowi. Starzec wypił wodę i na znak wdzięczności pochylił głowę.

- Co Cię trapi? – zapytał starzec.

- Niespełna rok temu zmarła mi żona, moje zdrowie podupada a i w chacie widać większą biedę. Martwię się, że jutro nie będzie co do gara włożyć.

- Pomogę Ci. Uczynię o co poprosisz, ale w zamian musisz oddać mi swoją córkę.

Zdziwiony ojciec początkowo nie przystał na jakże dziwną prośbę starca, jednak po kilku dniach ponowił swoją propozycję i drwal nie wiedząc co robić, zgodził się i podpisał papier, który podsunął mu mężczyzna.

Wten starzec pokazał swe prawdziwe oblicze i okazało się, że jest on szatanem, a dokument, który podpisał to najprawdziwszy cyrograf. Córka drwala należała już do diabła.

Postanowił on, że od razu obdaruje drwala zdrowiem i dostatkiem i zabierze jego córkę. Dziewczynka jednak, pamiętając słowa swej matki, ilekroć czuła, że zbliża się niebezpieczeństwo, sięgała po wodę święconą i czyniła znak krzyża. Rozszalał się szatan poszedł więc do drwala.

- Na prótno próbuję powziąć Twoją córkę. Gdy tylko po nią przychodzę ona się przestępuje i nie mam już do niej prawa. Zrób coś z tym lepiej, bo zniszczę i Ciebie i ją.

Zrozpaczony drwal nie miał już wyjścia i musiał wykonywać to, czego żądał od niego diabeł. Wrócił zatem do chaty i ukrył wszystką wodę jaką tylko znalazł. Zadowolony diabeł przyszedł więc po dziewczynę, myśląc, że teraz będzie już jego. Przestraszona dziewczyna zamoczyła jednak ręce w pomyjach odstawionych dla zwierząt i wykonała znak krzyża. Szatan znów nie miał do niej prawa. Udał się więc ponownie do drwala.

- Znowu nic z tego! Umoczyła ręce w pomyjach i przestęgnęła się! Masz mi ją dać!

Ojciec powziął więc dziewczynkę ze sobą do lasu, by ta pomogła mu w pracy.

- Połóż no tu kochana ręce na pieńku i opatrz jaki gładki.

Dziewczyna nie przeczuwając niczego złego uczyniła posłuszenie to, o co prosił ojciec. Wten ten sięgnął po toporek i jednym zamachem odciął jej ręce.

Jakże ona płakała. Jakim smutnym i rozczarowanym wzrokiem patrzyła na nieszczęsnego ojca. Przygarnęła odcięte dłonie kikutami i z płaczem podążyła do źródelka pod lasem.

- Matuszko Boska! Przebacz tatusiowi, przebacz!

Ulituj się nad nim i nade mną! Moja Mateniko!

Płakała dziewczyna i modliła się do Matki Boskiej.

Gdy skończyła zamoczyła dłonie i kikuty w źródle a te za sprawą Matki Boskiej zrosły się.

- To cud! Dziękuję Ci Mateniko! O jakże Ci dziękuję!

Cieszyła się dziewczynka i wychwalała Matkę Boską za cud, którego doznała.

Czym prędzej uczyniła znak krzyża i szatan znów nie miał do niej dostępu.

- Masz mi ją przyprowadzić natychmiast! Związać, obciąć ręce, Twoja sprawa.

Natychmiast!

Krzyczał diabeł. Ojciec powziął więc dziewczynkę, nie zważając na jej sprzeciwy i płacz. Powiedział jej, że tylko tak uratuje ich od zagłady.

Gdy przybyli na miejsce szatan już na nich czekał. Wskazał zapis w cyrografie i wyciągnął ręce po dziewczynkę. Nagle stanęła przed nim Matka Boska, zasłaniając sobą pobożną dziewczynkę, podarła cyrograf i przerażony diabeł uciekł.

Ojciec począł przytulać i przeproszać córkę za to, co uczynił.

Dziewczynka wtuliła się w ojca i razem wrócili do domu.

Autor: Monika Ząbek



„Legenda o Kosprze”

Tak o Kosprze z Watówek opowiada Dendys Władysław z Krzyzowej:

Żył sobie w górach "Watówki" w Krzyżówkach pewien starszek, który lubił czytać książki. Pewnego dnia dostała się do rąk starca książka, której nikt nie powinien czytać. Niestety, on tę złą książkę przeczytał. Po przeczytaniu jej był złym i dobrym duczem.

Gdy ludzie szli w pole pracować, a on miał na nich złość na nich, wchodził do domu, gdzie przewracał meble, robił bałagan. Wysypywał jedzenie z garnków, wypuszczał pierze z pierzyn, poduszek, przekładał małe dzieci z kołyski na podłogę, z podłogi do kołyski, a ludzie płakali i narzekali, mówiąc:

- W tych okolicach, naszych górach jest jakiś zły duch: a on z dachu wołał:
Chaj i śmiał się z ludzi umęczonych awanturami.

Więc ludzie postanowili sprowadzić na górę "Watówki" zakonnika z zakonu "Karmelitów Bosych", aby pokropili te góry wodą święconą i odprawili mszę świętą. Gdy zakonnik odprawił mszę, duch ten którego ludzie przezwali "Kosprem" wyszedł na bardzo wysokiego buka śmiejąc się, mówił:

- Chej, ty święty w białej sutannie i coś mi zrobił, jo uciek wysoko ponad Ciebie.
I jednak moc i siła Boża potrafiły ducha Kospra złamać, choć uciekł wysoko.

Po odprawieniu mszy świętej, po modlitwach na górze o pokropieniu wodą święconą zły duch Kosper osłabił zupełnie. Jeszcze tyle siły złego ducha miał, że gdy gospodarze zwozili zboże z pola, albo drzewo z lasu konik nie mógł ciągnąć bo to wysokie góry, gospodarze wtenczas wrywali Kospra:

- "Ej Kosperku na buku pomóż nom to pociągnąć".

Wtenczas konik ani rusz, bo duch się obraził, że robią z niego gospodarze kpiny.

I znów gospodarze się opamiętali i błagali:

- Ej Kosperku nie bądź taki zły, pięknie Cię pytomy żebyś nom popuścił, żeby mu z tą furą do stodoły dojechali.

Wtedy usłyszeli głos z wysokiego drzewa:

- Jedźcie, a na drugi raz nie róbcie ze mnie kpín. Gospodarze powiedzieli konikowi wio, a konik tak sobie leciutko pod wysoka górę woził furę zboża jak gdyby na wozie nic nie było.

Pewnego dnia jesienią wybrał się mój dziadek po drzewo do lasu, po buki na opał, na zimę, a buki są bardzo ciężkie. Nakłóżył ogromną furę, choć miał parę koni, jednak pod wysoka górę konie fury nie mogły uciągnąć. Wtenczas dziadek mój zwany Karol Jędrzejak zakpił z Kospra:

- Kasik tu był silny kosper to nom pomoże.

I oto stało się coś dziwnego. Konie kękały na kolana, ruszyć fury nie mogły.

Synowie mego dziadka, którzy byli wraz z nim po drzewo, przelazili się, co teraz robią, bo już wieczór nadchodził.

Wymawiali ojcu po co kpił z Kospra,

trzeba było go ładnie poprosić. Jeden z synów i mój dziadek

prosilili go tymi słowy:

- Kosperku, Kosperku dy nos tes popuś, jono zażartował,
być taki dobry bo noc tuż, tuż, a droga do domu daleko.

Wtedy dziadek wraz z synami usłyszał głos:

- Jedź, che, alena drugi raz nie rób kpín z Kospra.

Zły duch Kosper już nie panuje bo jeszcze kilka r odzin, których tam mieszka wezwano zakonników, aby odprawili egzorcyzmy, aby moc złego ducha znikła całkowicie na górze "Watówki".

Po tych wszystkich uroczystościach już nic złego się nie dzieje na wysokiej górze "Watówek".

Źródło: <http://www.okrzymowej.pl>



„Legenda o Matysce”

Około 500 lat temu w starej wiosce na Podbeskidziu, w ubogiej chałupie mieszkał rolnik Mateusz zwany przez sąsiadów Matem.

Mateusz codziennie pracował na polu. Podczas przerw w pracy patrzył na zalane słońcem Beskidy. Każdego dnia spoglądał na górę, na której mieściło się zamczysko starej wdowy. Mała ona córkę Izę, zwaną przez matkę Izką. Po śmierci matki Izę, zamkiem zawładnęła czarownica. Wtrąciła dziewczynę do podziemi i kazała jej czekać, aż jakiś śmiałek spełni dwa jej życzenia. Mat co dnia myślał o próbie spełnienia dwóch życzeń, ale brakowało mu odwagi, a poza tym był bardzo nieśmiały.

W porze letniej z Tatr przyjechał do niego kuzyn Stanisław.

Mateusz opowiedział mu o swoich rozmyśleniach. Staszek doszedł do wniosku, że powinien pomóc kuzynowi w trudnej sytuacji. Pewnego pięknego dnia po pracy w polu Mat spotkał kuzyna czekającego na niego przy wejściu do chaty. Stanisław nie zwracał uwagi na próby wymigiwania się Mateusza od wyprawy do czarownicy.

W końcu jednak z ciężkim sercem mat poszedł na górę ze Staszkiem.

Mat zapukał do drzwi i usłyszał rechot czarownicy:

- Ho ho ho! - śmiała się - a więc ktoś pamięta o Izce!

Staszek uklonił się i powiedział:

- Dzień dobry! Mój kuzyn... - spojrzał na trzęsącego się Mata - ja i mój kuzyn przyszlizmy spełnić dwa życzenia i uratować Izę - wypalili jednym tchem Stach. Czarownica uśmiechnęła się złośliwie i powiedziała pierwsze życzenie:

- Na polu za górą pasą się krowy. Jedna z nich kryje pierścień Izę.

Wasze zadanie polega na odszyfrowaniu która to. Podpowiem, że zjadła pierścień - zarechotała wiedźma. Staszek i Mat wyruszyli na pole.

Jakież było ich zdziwienie, gdy zobaczyli około stu krow pasących się na łące.

- Którą wybrać - zastanawiali się.

Zaniepokoiło ich, że jedna krowa na ich widok ucieka w głąb lasu. Popędzili za nią, uwiązali, zabili i poszukali pierścienia. Znaleźli. Pobiegli do czarownicy i pokazali go. Ta zaś nie kryjąc zdziwienia oznajmiła drugie zadanie. Ten kto chce ożenić się z Izą musi sam wykonać zadanie. Trzeba było odnaleźć jedynego żyjącego krewnego Izę. Mat chodził od domu do domu pytając. Nagle wpadł mu do głowy pomysł,

aby zająrzeć do najstarszego mieszkanka wioski mędrca Tymoteusza, który mieszkał w wiosce od około 100 lat. Spytał go więc Mateusz, czy ma jakieś wiadomości na temat rodowodu Izę i czy zna jego krewnego. Tymoteusz poszukał w swoim zbiorze pergaminów informacji na temat małżeństwa Ołgi i Bronisława Wass, niemieckich dziadków Izę. Mędrzec odkrył, że jedynym krewnym Izę jest... on.

Był jej dalekim wujem, ponieważ jego korzenie sięgały rodu Wass. Kiedy Mat oznajmił to czarownicy, wpadła w furję i odleciała w siną dal...

Mateusz i Izabella pobrali się i żyli długo i szczęśliwie w zamku na dórze.

Byli zgodnym małżeństwem i wychowali troję wspaniałych dzieci. Od ich imion zaś górę, na której mieszkali nazwano Mtyjką.

Po wielu zmianach językowych do dziś zachowała się nazwa Matyska. Choć po zamku nie ma śladu, góra ta jest często zdobywana i odwiedzana przez turystów, którzy podziwiają piękne widoki rozpościerające dookoła.

Autor: Szymon Kłusak

Kl.Vd, Szkoła Podstawowa, Żywiec

„Znak Krzyża”

Niegdyś przed laty na skraju lasu mieszkała szczęśliwa rodzina – małżeństwo z córką. Ojciec by wyżywić rodzinę pracował e lesie jako drwał, matka zaś zajmowała się chatą i wychowywaniem córki, starając się by ta była oddana Bogu i nigdy nie przestawała go miłować.

Pamiętaj córko, gdy nie wiesz co począć zawsze zwracaj się do Boga i do matki Boskiej. Gdy tylko uczynisz znak krzyża, Pan Jezus nigdy nie odmówi Ci pomocy.

Rodzina choć bardzo uboga, każdego dnia dziękowała Bogu za szczęście, którym ich otacza.

Niestety matka dziewczynki wkrótce poważnie zachorowała i zmarła. Ojciec został więc z dziewczynką sam.

Nieoczekiwanie i jego zdrowie zaczęło się pogarszać, doskwierała coraz srogsza bieda, a i kontakt z córką stawał się uboższy. Drwał począł się zastanawiać co dalej.

Pewnego dnia, gdy przebywał w lesie podszedł do niego staruszek i poprosił o pomoc:

- Dobry drwale użycz mi odrobiny wody do picia bom spragniony.

Pocziwy drwał bez zastanowienia pochwycił swoją menatkę i podał ją przybyłcowi. Starzec wypił wodę i na znak wdzięczności pochylił głowę.

- Co Cię trapi? – zapytał starzec.

- Niespełna rok temu zmarła mi żona, moje zdrowie podupada a i w chacie widać większą biedę. Martwię się, że jutro nie będzie co do gara włożyć.

- Pomogę Ci. Uczynię o co poprosisz, ale w zamian musisz oddać mi swoją córkę.

Zdziwiony ojciec początkowo nie przystał na jakże dziwną prośbę starca, jednak po kilku dniach ponowił swoją propozycję i drwał nie wiedząc co robić, zgodził się i podpisał papier, który podsunął mu mężczyzna.

Wten starzec pokazał swe prawdziwe oblicze i okazało się, że jest on szatanem, a dokument, który podpisał to najprawdziwszy cyrograf. Córka drwala należała już do diabła.

Postanowił on, że od razu obdaruje drwala zdrowiem i dostatkiem i zabierze jego córkę. Dziewczynka jednak, pamiętając słowa swej matki, ilekroć czuła, że zbliża się niebezpieczeństwo, sięgała po wodę święconą i czyniła znak krzyża. Rozłoszczony szatan poszedł więc do drwala.

- Na próżno próbuję powziąć Twoją córkę. Gdy tylko po nią przychodzę ona się przebiegnie i nie mam już do niej prawa. Zrób coś z tym lepiej, bo zniszczę i Ciebie i ją.

Zrozpaczony drwał nie miał już wyjścia i musiał wykonywać to, czego żądał od niego diabeł. Wrócił zatem do chaty i ukrył wszystką wodę jaką tylko znalazł. Zadowolony diabeł przyszedł więc po dziewczynę, myśląc, że teraz będzie już jego. Przestraszona dziewczyna zamoczyła jednak ręce w pomyjach odstawionych dla zwierząt i wykonała znak krzyża. Szatan znów nie miał do niej prawa.

Udał się więc ponownie do drwala.

- Znowu nic z tego! Umoczyła ręce w pomyjach i przebiegnęła się! Masz mi ją dać!

Ojciec powziął więc dziewczynką ze sobą do lasu, by ta pomogła mu w pracy.

- Połóż no tu kochana rękę na pieńku i opatrz jaki gładki.

Dziewczyna nie przeczuwając niczego złego uczyniła posłusznie to, o co prosił ojciec. Wten ten sięgnął po toporek i jednym zamachem odciął jej rękę.

„Legenda o Górze Burgalowskiej”

Bardzo dawno temu, na pewnej górze stał ogromny zamek królewski. Panował w nim uczciwy król, Maciek Burgał. Wokół zamku rosły najrozmaitsze buki, brzozy, modrzewie, a także wysokie świerki i sosny. Lecz największym i najpiękniejszym drzewem był wielki dąb. Jego gałęzie sięgały prawie do najwyższej wieży zamku.

Niestety król Maciej miał bardzo wymagającą, złośliwą i chciwą córkę. Nikt jej nie lubił. Nawet wierni poddani króla woleli trzymać się od niej z daleka. Córka króla nazywała się Sara. Król Maciej miał też żonę sprawiedliwą i dobrą, która niestety od dawna nie żyła. Odtąd jej miejsce na tronie zajęła dumna Sara.

Pewnego ranka księżniczka wybrała się do lasu. Szła leśną dróżką i nagle w gęstwinie zobaczyła młodzieńca na pięknym rumaku. Był to książę Franciszek, który wybrał się na polowanie. Sara od razu się w nim zakochała. Podeszła bliżej tak, aby książę ją zobaczył. W tej chwili serce jej zabiło. Pomyslała sobie, że książę być może się jej oświadczy. Lecz tak się nie stało. Książę zszedł z konia i uklonił się nisko. Powiedział:

- Witaj księżniczko.

- Witaj książę. Czy zmierzasz do mego zamku by mi się oświadczyć?

- Nie księżniczko, nie jadę do króla by prosić o twą rękę. Jesteś piękna, ale masz złe serce. Wiem to

od twoich poddanych.

Książę odjechał, a Sara długo, długo płakała. Kilka dni po tym zdarzeniu, Sara postanowiła się zmienić. Powiedziała wszystkim w zamku, że nie będzie już taka chciwa i wymagająca. Lecz nikt jej nie uwierzył. Księżniczka długo siedziała w swojej komnacie, rozmyślając nad tym, co zrobić, by jej uwierzyli. W końcu postanowiła, że będzie czynić ludziom dobro. Mieszkańcy góry domagali się od króla obniżenia podatków, wtedy ku zdziwieniu wszystkich, Sara stanęła po ich stronie. Pewnego dnia Sara wymknęła się z zamku i poszła do lasu, by ujrzeć znowu księcia, który polował. Chciała mu powiedzieć, że postanowiła się zmienić. Niedaleko paś się piękny jeleni. Książę właśnie miał do niego strzelić, wyciągnął hak i... w ostatniej chwili Sara wybiegła z zarosli, aby spłoszyć niewinne zwierzę.

- Księżniczko Saro, co ty czynisz, spłoszyłaś moją zdobycz! – krzyknął książę.

- Franciszku, zostaw przy życiu tego pięknego jelenia. Będzie ozdobą tego lasu – odpowiedziała Sara.

- Czyżbyś się zmieniła? – zapytał.

- Staram się, ponieważ chcę zasłużyć na twą miłość.

Po przybyciu do zamku, książę usłyszał nowinę, o tym, że księżniczka Sara wstawiła się u króla za biednymi ludźmi. Spacerując po ogrodach królewskich, spotkał ją i powiedział:

- Saro, widzę, że jesteś teraz dobra i sprawiedliwa. Pragnę abyś została moją żoną.

Księżniczka bardzo się ucieszyła na tę wiadomość, bo od dawna o tym marzyła. Król zorganizował piękną ceremonię ślubną, na którą zaprosił wszystkich poddanych ze swego królestwa. Wszyscy się dobrze bawili, miód i wino pili. A gdy stary król Maciej Burgał po latach sprawiedliwego panowania zmarł, górę, na której stał zamek, nazwano Górą Burgalowską.

Autor: Kasia Mazurek

Szkoła Podstawowa nr 5, Kl. III g

„Historia Babiej Góry”

Działo się to nie tak dawno temu. W małej beskidzkiej wiosce spokojne, dostatnie życie wiodł Janek, syn sołtysa oraz krawcowej, przez co jego rodzina cieszyła się dużym szacunkiem wśród mieszkańców wsi. Pasją Jana były górskie wycieczki oraz spotkania z przyjaciółmi. Pewnego dnia Janek postanowił samotnie wybrać się w góry. Dzień był pogodny, nieliczne chmury czasem zakrywały słońce. Chłopak był bardzo ambitny, miał świetną kondycję przez co zdobywanie szczytów leżących w Beskidach było dla niego łatwością. Tego dnia jednak wybrał sobie, może nie najwyższy, ale najbardziej stromy szczyt. Chciał udowodnić wszystkim, że góry nie mają przed nim żadnych tajemnic. Wspinaczka rozpoczęła się dobrze. Mijał kilku innych zdyszanych turystów, mijał wycieczki, których przewodnicy prowadzili na łatwiejszy szlak. On jednak uparcie wierząc w swoje siły brnął dalej. Po kilku godzinach samotnego wędrowania Janek poczuł zmęczenie. Usiadł na moment na skałach, aby nabrać sił. Gdy rozglądał się po otaczającym go krajobrazie, wysoko, prawie że na szczycie góry dostrzegł pięknie wyrzeźbioną w skałach jaskinię. Postanowił się tam wdrapać. Wędrówka była bardzo ciężka, bo od tamtej strony podejście było strome. Gdy dotarł do swego celu bardzo się zdziwił. W środku groty leżała jakaś dziewczyna, otaczały ją zawsze kobiety przypominające czarownice. Wyglądająca na najstarszą z nich przywódczyni szeptała pod nosem dziwne słowa. Janek był przerażony swoim odkryciem. Chciał uciekać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przez przypadek stanął na gałązkę pod jego nogami. Jedna z czarownic usłyszała to, wyszła przed groty i zabrała bez słowa Janka ze sobą. Przerażony chłopak stracił przytomność. Chwilę później obudził się w jakimś ciemnym lochu. Obok niego leżała dziewczyna, która wcześniej widział w grocie. O dziwo nie robiło to na niej żadnego wrażenia, że ma towarzysza. Spytana o swoje imię nie odpowiedziała Jankowi. Wyciągnęła tylko kartkę i napisała, że oboje znajdują się w lochu w środku Babiej Góry, miejsca sabatu czarownic i, że już się z tego więzienia nie wydostaną. Janek próbował wszelkich sposobów na opuszczenie celi, niestety na próżno. Kraty były za grube, a więzienna koleżanka nie była chętna do pomocy. Kilka dni później zmarła z wycieńczenia. Zostawiła Jankowi list w którym napisała mu, że wiedzą, zrobią z nim najprawdopodobniej to co z nią. Czyli na początek pozbawia radości, potem nadziei. Chłopak w samotności rozpoczął pisanie swojego pamiętnika. Opisał w nim dokładnie wszystko co czuł w celi, a potem co przeżył przed sądem z czasie sabatu czarownic. Za odkrycie ich sekretu chłopak został skazany na wieczne strażenie więzienia w górze. Dopóki nikt go znów nie odkryje, chłopak nie będzie wolny. Parę lat później inni turyści wspinali się tym samym szlakiem na szczyt. Jeden z nich zauważył wcisnięty w skałę dzienniczek. Były w nim opisane wszystkie przygody Janka. Turysta pokazał to swojemu przewodnikowi, który stwierdził, że są to na pewno legendy, które opowiadali sobie górale z okolic. Opiekun grupy przeczytał je swoim podopiecznym. Wszystkim bardzo się podobały, choć wiele osób nie wierzyło we wzmiarki o czarownicach. Tak czy owak od tamtej pory utarło się, że górę w szczelinie której znaleziono pamiętnik Janka nazywa się „Babią Górą” i jest ona bardzo chętnie zdobywana przez amatorów górskich wycieczek. O sabacie nikt już nie słyszał, tak samo, jak o lochu strzeżonym przez Janka, który dalej musi czekać, aż przypadkowo ktoś odkryje tajemnicę skrywaną przez okoliczne wieśmiany.

Autor: Szymon Kłusak

„Diablak „

Według legendy wracający z Orawy zbójnik postanowił odpocząć na szczycie Babiej Góry. Wtem - ktoś podchodzi - ludzka postać, ale ma ogon, rogi i kopyta. Zbójnik szybko orientuje się, że ma do czynienia z Diabłem. Ten proponuje interes - jeśli chłop podpisze zapisany papier, będzie mu się dobrze wiodło. Zbójnik chce postawić krzyżyk, ale Diabeł łapie go za rękę i nakreśla wielki zawijas. Zadowolony Szatan chętnie spełnia warunek mężczyzny - ma zbudować na szczycie wielki zamek z kamieni. Spieszy się Diabliśko, dźwiga ciężkie kamienie, bo wie, że ma czas do świtu - wtedy tryska jego moc. Chłop nie jest głupi. Kiedy Złe już kończy budowę, ten wymyśla coraz to nowe problemy - to o jedną wieść za mało, a to rów za płytki, mur za niski. Właśnie gdy Szatan ustawia ostatni kamień, słysząc płanie koguta z Zawoi. Na to zbójnik w śmiech - umowa to umowa, Diabeł nie dostanie duszy. Wściekły rzucił Zły zapis, ale ze złości machnął ogonem i zburzył zamek, który przyniósł zbójnika. Teraz tylko czasem jeszcze słychać, jak pomiędzy skałami zbryka ciupaga góralska.

Źródło: <http://www.zswsucha.iap.pl/gopr/mapa/diablak.htm>

Przysłop oczyma mieszkańców - opowiadania, wspomnienia i legendy Grota Matki Bożej w Zawoi Zakamień

Grotę zaplanował śp. ojciec Bernard Smyrak, zawojanin. Powstawała ona razem z klasztorem Ojców Karmelitów Bosych. Ojciec Bernard planował zbudowanie tunelu w górze, w której miała być umieszczona figura Matki Bożej. Jednak do tego nie doszło, nie wiadomo dziś, z jakiej przyczyny. Powstała za to grotka. Grotę w istniejącej przy klasztorze górze kopano ręcznie, łopatami, kilofami; do wywożenia ziemi i kamieni służyły taczki. Kopali ją nieżyjący już mieszkańcy Przysłopia, jak również nasze obecne babcie i dziadkowie, którzy byli wtenczas młodzieżą. O. Bernard wyznaczał po kilka osób z danego osiedla, co dzień po kilka osób nie tylko z Przysłopia, ale również z sąsiednich osiedli: Bielasy, Chrzęszcz, Gołynia, Janiki, Magurka, Polana Grzechyńska, Steczki, Surzyny, Topory, Zalas, itd. Zbierano też kamienie, które układano jeden na drugim bez zaprawy, no bo kto by wówczas kupował cement. Figury, tak Matki Bożej jak i św. Bernadetty Soubirous, przywiózł gotowe śp. O. Bernard.

W grocie był i jest do tej pory ołtarzyk. Przed grotą ustawiono ławki.

Odmawiano tam różaniec, odprawiano nabożeństwa majowe. Jako dzieci większość z nas przychodziła tu boso. Śpiewaliśmy pieśni maryjne, między innymi tę, którą uczył nas o. Bernard i której przytoczę jedną zwrotkę:

Tu, wśród ciszy gór i lasów
otoczonych srebrną mgłą
Tu Matka Niepokalana
założyła twierdzę swą.

Pewien mieszkaniec Przysłopia związany z Zakamieniem opowiadał, że słyszał historię o powstaniu klasztoru. Podobno pewnego dnia, gdy chłopcy paśli krowy w tym miejscu, gdzie obecnie jest grotka, usłyszeli dochodzące gdzieś spod jałowca cudne głosy, jakby dzwoniły dzwoneczki, takie jak przy Mszy świętej. Szukali i nic nie znaleźli.

a tu w śniegu leży jakisik zwierz, co mo dwie głowy! Przyswiyćily latarniom.
Jak nie zacząć sturzać kijami tego znaleziska, aż sie krupy wysuły! Godo jedna
do drugiej - "Dobrze, że my go zabily, bo miał pełno młodych w brzuchu.
Wiys, jak by się to rozplonilo?"

Za chwilo nadsed jakisik chłopina, co tyz wybroł się na roroty i godo
- "Co wy to baby tak bijecie?". A one - "Popatrz sie kamotrze, jakiego my zabily zwierza!
A wiera miał młodych w brzuchu i aże dwie głowy! Jakby sie lokocil, to by sie iak tyle
namnozylo, zeby nos wszystkich pozezirywały!"

Chłop godo do tyk bab - "O, wy głupie baby! A dyć to kiska, bo Gojcyk bił świnię i Klimek
mu zrobił kiski. Pewnie sie łopit i potracił. Jakbyście wziony pod chustko, to byście
miały co jeść z dziecyskami we świotu. A wyście to zniewieraly".

Takie to, wyście, miały dówni rozumy te nase prababki. Ale jak nom jesce roz te pany
oświacie w tyj Warszawie zreformują, to i nase wnuki takie same rozumy mieć bedo!

„Świocidelfka”

Po zachodzie słońca, gdy już zmierzchało, na podmokłych terenach ukazywały się
światelka. Była to podobno jakby chodząca ręka, która trzymała w dłoni siwy
(niebieskawy) płomień. Nie wolno było krzyczeć ani rzucać kamieniem w jego kierunku,
bo zaraz człowieka obejmował ten płomień, a gdy uciekał, to sywał się za nim ogień,
który zostawiał blizny na twarzy.

„Mocydła”

(niewielkie zagłębienia w terenie wypełnione wodą, coś w rodzaju małego stawu)
Po wojnie na terenie Zawoi była przymusowa kontraktacja lnu. Len, aby stał się nitką,
a później płótnem, musiał przejść przez wiele etapów obróbki. Po ścięciu lnu wkładano
jego wiązki do mocydła. Jak chcą krążące opowiadania, w takich mocydłach przebywały
chętnie boginki. Były to postacie pięknych dziewcząt. Jedni mówili, że miały twarze
zasłonięte białą welonką (welonem), inni, że miały kształty niby dziewczyny, niby ryby.
W każdym razie były piękne. Przypisywano tym boginkom porywanie niechrzczonych
niemowląt. Gdy dzwoniły dzwony w południe, na Anioł Pański, wychodziły one
ze swoich kryjówek i czyhały na karmiące matki. Wierzano, że przez sześć tygodni
po urodzeniu dziecka matka nie powinna wychodzić z chałupy, bo jest w tym czasie
najbardziej narażona na przykre spotkanie z boginką. Kobięcie, która krzątając się
po gospodarstwie, nieopatrznie wyszła za próg, boginki porywały dziecko
i wychowywały je, zostając ich mamkami. Mocydła zarosły sitowiem, boginki znikły.
Jeszcze starsze osoby pamiętają, w których to miejscach na Przysłopiu mocyło się len.

„Planetniki”

Gdzieś około 100 lat temu na terenie Zawoi było dużo dzwonów. Niektóre dzwony służyły
do rozpędzania burzy. Gdy zauważano, że nadciągają ciężkie chmury, zlatywali się przeważnie
mężczyźni, ciągli za grube powrozy i dzwony dzwoniły, rozpędzały chmury. Trzeba było tak
długo dzwonić, aż wszystkie chmury rozszedły się po niebie. A było to bardzo ciężkie zajęcie
- nawet czterech chłopów nie mogło uciągnąć małego dzwonka. A z chmur słychać było
wołanie planetników, którzy rządzą burzą - "puść, puść, bo nie wytrzymamy". I coraz trudniej
było dzwonić, bo nie było siły, chłopcy się zmieniali co chwilę. Gdyby przestano dzwonić,
to groziły straszne ulewę, gradobicie, oberwanie chmury. Planetniki to były olbrzymy,
mężczyźni w czarnych ubraniach i czarnych pelerynach. Czasem możnaich było spotkać.
Szkoda że teraz nie ma takich dzwonów, można by było zapobiec powodzi.

Zaprezentowane projekty realizowane były w ramach programu „Młodzież w działaniu”.

„Młodzież w działaniu” to program Unii Europejskiej, który pozwala uzyskać dofinansowanie na realizację projektu.

Dzięki temu młodzi ludzie w wieku 13–30 lat mogą realizować swoje pasje, rozwijać umiejętności i zdobywać nowe doświadczenia w czasie wolnym od nauki. Program adresowany jest również do osób pracujących z młodzieżą oraz organizacji działających na rzecz młodzieży, które chcą podnieść swoje kwalifikacje, rozwinąć działalność czy nawiązać współpracę międzynarodową.

„Młodzież w działaniu” wspiera przedsiębiorstwa, które mają pomóc w rozwoju osobowości młodych ludzi oraz sprzyjać nabywaniu nowych umiejętności.

**Za realizację programu w Polsce odpowiada
Narodowa Agencja Programu „Młodzież w działaniu”,
której rolę pełni Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji.**



**„Ta publikacja [ten materiał] odzwierciedla jedynie stanowisko jej [jego] autora,
a Komisja nie ponosi odpowiedzialności za sposób wykorzystania zawartych w niej [w nim] informacji”**



Wykonanie projektu „Foto u Jarka”

